

Najnowsze osiedla polskie w Brazylii

Najpoważniejszym i najgroźniejszym niedomaganiem naszej emigracji jest rozproszenie wychodźców polskich po całym świecie — niema prawie kraju na kuli ziemskiej, w którymby naszych rodaków nie można było znaleźć! I nie dziw — w czasie długoletniej niewoli nie tylko względy ekonomiczne skłaniały Polaków do szukania poza własnym krajem lepszych warunków życia — wypędzaly ich również w świat daleki prześladowania polityczne, że wspomnę tylko nasze powstania, a także prześladowania religijne, że wspomnę znowu tylko tak zw. Kulturkampf w zaborze pruskim i nawracanie na prawosławie unitów w zaborze rosyjskim. Więc uciekał Polak z własnej ziemi, najczęściej nieprzygotowany, bez programu, bez planu — szedł, dokąd go oczy poniosą. Rządy zaborcze, aczkolwiek zasadniczo sprzeciwiały się emigracji i paszportów nie wydawały, nie przeszkadzały jej jednak, a nawet chętnie patrzyły na wyjazd z kraju najdzielniejszego elementu polskiego. Polak, znany z uczciwości, pracowitości i skromnych wymagań, był mile widziany w krajach, w których, przy silnym rozwoju przemysłu, brak było rąk do pracy, lub tam, gdzie zaludnienie było małe, a gdzie szaloną pracą i niepomiernym wysiłkiem trzeba było w dziewiczej puszczy nowe tereny dla cywilizacji zdobywać —

zniesienie niewolnictwa w tych krajach jeszcze zapotrzebowanie zwiększyło. To też na całym terytorjum polskim, niezależnie od zaboru, bezkarnie grasowali agenci niemieckich linii okrętowych, płatni naganiacze różnych państw zamorskich, opowiadali cuda o łatwym z bogaceniu się bez pracy, o wygodnych warunkach podróży, ułatwiali przejście przez zieloną granicę bez dokumentów, wyzyskiwali i obdzierali otumanionych biedaków. Zdarzało się również, że polscy niepowołani działacze, nie koniecznie nieuczciwi, ale lekkomyślni i niedoświadczeni, chaos i gorączkę wychodźczą jeszcze wzmagali, idąc na rękę zbrodniczym agentom i naganiaczom. Jaskrawy przykład tego opisuje p. Kazimierz Głuchowski w dziele swoim „Wśród pionierów polskich na antypodach“. (Nakładem Naukowego instytutu emigr. 1927 r.) Na stronie 24 czytamy: „Nadchodzi ostatnia gorączka brazylijska (lata 1910 do 1912, przyp. red.), która objęła ziemie polskie. Tym razem wszczyna ją rząd brazylijski przy pomocy Polaków, na Chełmszczyźnie, w siedleckiem, oraz lubelskiem. Rusza raz jeszcze lud polski za morze... Napływ kolonistów za duży. Administracja nieprzygotowana, działki niepomierzone, baraki marne, to też działywa przedewszystkiem, a także dorośli, zaludniają cmentarz wyludnionego już dziś niemal zupełnie „1-go Sede“, osiedla Cruz Machado.

Wojna światowa przerwała czasowo emigrację masową, ale zmartwych powstała ojczyzna zastała już blisko czwartą część swoich synów rozsiansych po wszystkich krajach świata. W pierwszych latach powstania państwa polskiego, ani naród polski, ani rząd, zajęty ustalaniem granic, organizacją wewnętrzną państwa, odbudową zniszczonych przez wojnę warsztatów pracy, wreszcie odparciem nawały bolszewickiej i repatriacją wysiedlonych w głąb Rosji podczas wojny światowej setek tysięcy rodzin polskich, nie miał możliwości pomyśleć i zatroszczyć się o los polskich wychodźców. A każdy rok, niestety, nowe straty i dla narodu polskiego, i dla państwa przynosił. Nie mówiąc już o całej masie Polaków, przebywających pojedynczo lub w małych grupach w różnych stronach świata, którzy w obcym środowisku i w obcej kulturze zatracali wszelką łączność z krajem i dla narodu polskiego ginęli, ale nawet w tych państwach, w których ilość wychodźców polskich była bardzo znaczna, tylko część ich zamieszkała w skupieniu i zdołała przechować język, obyczaje i tradycję ojczyzny, a reszta, tu także rozsiąta na ogromnych przestrzeniach wśród obcych, musiała się wynarodowić i dla Polski być straconą. A wynarodowienie, niestety, za małymi wyjątkami pociąga za sobą i upadek moralny, gdyż, jak doświadczenie uczy, człowiek w obcym środowisku, nie znający języka i nie mający oparcia o swoich, przejmując przedewszystkiem ujemne cechy swego otoczenia. To też, gdy tylko powstała możliwość planowego zajęcia się wychodźstwem, jedyną myślą rządu i społeczeństwa polskiego było wyratowanie dla narodu i państwa polskiego tego, co się jeszcze da wyratować! Zadanie doniosłe, ale bardzo trudne. Państwo polskie, nie posiadając dotychczas własnych kolonii, a będąc zmuszone kierować nadmiar swojej ludności do krajów obcych i pod obce rządy, nie może obecnie nawet marzyć o ześrodkowaniu w jednym państwie wychodźców polskich, rozsiansych pojedynczo lub w drobnych grupach w różnych krajach—tych, niestety, trzeba uważać dla narodu polskiego niemal za straconych. Natomiast cały wysiłek państwa i społeczeństwa polskiego powinien iść w dwóch kierunkach: 1-o nie dopuszczać do dalszego rozproszkowania wychodźców, obecnie wyjeżdżających z kraju, a którzy w przeważnej części są rolnikami, przez tworzenie dużych, zwartych osiedli rolnych w krajach, w których już ilość Polaków jest wielka, lub nawet w krajach, dla wychodźstwa polskiego nowych, i 2-o w krajach, w których już znaczna część wychodźstwa polskiego żyje w zwartych osiedlach, tworzyć nowe i ześrodkować w nich pojedynczo lub w drobnych grupach rozsiansych po całym kraju wychodźców. Przez odpowiedni dobór terenów można w ten sposób łączyć ze sobą już istniejące większe osiedla. Tu da się jeszcze dużo wyratować, gdyż, pomimo zaklimatyzowania

się w nowym środowisku, zobojętnienia, a nawet prawie że nieprzychylnego i krytycznego stosunku do Polski, tkwi jeszcze w tych ludziach żywołowa miłość ojczyzny, którą łąda iskra na nowo rozpałi. Podczas bytności mojej w Paranie w roku zeszłym w jednym z bardziej oddalonych od środowisk polskich municypjów poznałem Polaka p. K. — starszy człowiek, oddawna w Paranie osiadły, ożeniony z brazylianką; w domu mówi się po portugalsku; doszedł do dobrobytu, jest właścicielem najlepszego zajazdu, członkiem rady municypalnej; przez długie lata był prawie jedynym Polakiem w tej miejscowości; obecnie osiedliło się już w miasteczku i okolicy kilkanaście rodzin polskich, które p. K. wokół siebie skupia. Rozmowa naturalnie zaraz potoczyła się o Polskę. Pan K. bardzo jest do niej zrażony — stracił na pożyczce, do Polski wracać nie warto, bo tam bieda, a prztem jakaś dyktatura — on tu przywykł do wolności, a tam się podobno nawet swobodnie poruszać nie można — zresztą on od niej nie niema, więc zaco ma ją kochać. Stałem się sprostować jego pojęcie, zdawało się bez skutku, i na tem się dnia tego rozmowa skończyła. Nazajutrz pod wieczór powróciłiśmy do zaczętej rozmowy. Pan K. mniej już był rozgoryczony, słuchał pobłażliwie i przychylnie moich wywodów, aż nagle z rozczuleniem zawołał: „A jednak jabym chciał w Polsce umrzeć!“ — i lzy mu w oczach stanęły.

Chciałbym się podzielić z czytelnikami „Więści“ innemi jeszcze wrażeniami z pobytu mojego w Brazylii, mianowicie opowiedzieć o pracy, która się tam już prowadzi w dwóch kierunkach, powyżej zaznaczonych, a która ma na celu skupianie pojedynczo rozproszonych wychodźców, łączenie większych ośrodków polskich ze sobą i planowe tworzenie nowych, poważnych polskich osiedli. Inicjatywę w tej tak ważnej sprawie podjął jeszcze przed odrodzeniem państwa polskiego, bo w czasie wojny, misjonarz ks. Jan Kominek, proboszcz parafji polskiej Itayopolis, dawniej Luceny, w Stanie S-ta Catharina. Kolonia Lucena, jedna z dawnych kolonii polskich, skupiająca w zwartej masie około 1200 rodzin, należała początkowo do Parany. Na skutek długoletnich krwawych nieraz sporów granicznych pomiędzy stanami Parana i S-ta Catharina, kolonia Lucena ze znaczną połacią ziemi na północ, aż do rzek Rio Negro i Rio Igussu, odeszła do stanu S-ta Cathariny, w którym stanowi jedyne poważne polskie skupienie. Warunki ludnościowe w stanie S-ta Catharina są odmienne, niż w Paranie — Polacy, którzy w Paranie stanowią przeszło 16%, a łącznie z Rusinami przeszło 20% ogółu ludności, w stanie S-ta Catharina przedstawiają tylko niespełna 3%. Stan S-ta Catharina załudniony jest przeważnie przez Niemców, i kolonji Lucena groziło poważne niebezpieczeństwo zupełnego jej odłączenia od środowisk polskich w Paranie, ku czemu skierowane zostały

wszystkie wysiłki Niemców. Ks. Jan Kominek przeciwstawił się tym wysiłkom i, korzystając ze znacznego zmniejszenia się wpływów niemieckich w czasie wojny światowej, już wtedy swoją akcję rozpoczął i nadal ją teraz prowadzi. Dzięki energii, wybitnym zdolnościom organizacyjnym i propagandowym i niezmordowanej pracy ks. Kominka oraz dzięki zaufaniu, jakie do jego prawości mieli miejscowi właściciele większych obszarów, zawdzięczać możemy, że ks. Kominkowi udało się bez lub prawie bez pieniędzy zażegnać grożące Lucenie niebezpieczeństwo odcięcia. Już dziś poprzez miejscowości Sao Thomas, Queimados, Colonia Viciva, Rio dos Pavdos, Pulados, Rio Novo i Valloes po stronie S-ta Catharina, Itayopolis połączone jest z wielkimi skupiskami polskimi po stronie Parany: Antonio,

pierwszego Konsula R. P. w Kurytybie p. Kazimierza Głuchowskiego. Tu połączone były dwa doniosłe cel: pierwszy — to zgrupowanie w jednym polskim osiedlu rozsianych pojedynczo kolonistów polskich w 3 południowych stanach Brazylii, drugi — może jeszcze donioślejszy — otwarcie drogi do nowych terenów osadniczych dla polskiej ekspansji w zachodniej części Parany. Municipjum Guarapuava, największe w Paranie, przestrzenia około 54000 kilom. kwadr., przedstawia wszystkie cechy najdoskonalszego terenu osadniczego: gleba najurodzajniejsza, klimat najzdrowszy, zaludnienie, nie dochodzące jeszcze dzisiaj do 1 mieszkańca na kilometr kwadr., przestrzeń ogromna, pozwalająca w północnej części na uprawę kawy, trzciny cukrowej i bawełny, w południowej — na uprawę zbóż i traw

Puszcza ustąpiła miejsce a domom



Olintho, Aguia Branca, Sao Matheus, Rio Claro. Naturalnie nie może być jeszcze mowy o zwartem zaludnieniu tych okolic przez Polaków — bez pieniędzy tego prędko zrobić nie można — ale ks. Kominek w pracy nie ustaje, ilość osiedli polskich w tym rejonie rok rocznie poważnie wzrasta, i śmiało można przewidywać, że z czasem cała przestrzeń, dzieląca Itayopolis od polskich osiedli w Paranie, stanowić będzie czysto polski stan posiadania. Niezmordowanej i ideowej pracy ks. Kominka należy się jak najgorętsze poparcie społeczeństwa polskiego i rządu.

Ks. Kominek ma także wielkie zasługi, jaki misjonarz — dotarł on do jednego z najbardziej wojowniczych szczepów indyjskich Botokudów, którzy byli postrachem całej okolicy, nawrócił ich na wiarę chrześcijańską i zrobił z nich najlepszych przyjaciół Polaków. Wszelkie próby, poprzednio robione przez innych misjonarzy, nie odnosiły rezultatu.

Drugim poważnym krokiem w tym samym kierunku jest założenie nowego osiedla polskiego w Amolafaca, w municipjum Guarapuava. Kolonia polska Amolafaca, urzędowo zwana Colonia Coronel Queivoz, zawdzięcza swoje powstanie inicjatywie

strejfy umiarkowanej. Niedostatkami jest brak zupełny kolei żelaznych i bardzo ograniczona ilość dróg samochodowych i kołowych. Z tych powodów municipjum to było dotychczas mało znane i jakby pominięte — i tylko wyjątkowi polscy pionierzy, nie mający nic do stracenia, odważali się w pojedynkę lub po kilku tam się zapuszczać. Początki, jak zwykle, bardzo ciężkie. Inicjatorem, jak mówiłem, był p. konsul Głuchowski, wykonawcą — p. Wł. Radecki; potrzebne fundusze obiecali dostarczyć polscy kapitaliści w Kurytybie. Na podstawie kontraktu, zawartego w 1921 r., właściciel fazendy Amalafaca p. Queivoz oddał p. Radeckiemu swoją posiadłość do parcelacji na pięć lat za zgóry umówioną cenę, która co roku była wyższa. Koszty pomiarów, przewłaszczenia i wszelkie inne obciążały przedsiębiorstwo. Gdy już kontrakt był podpisany i należało przystąpić do pomiarów i wyznaczenia działek, okazało się, że wszystkie obiecanie na ten cel fundusze w zupełności zawiódły. Sytuację wyratował zamożny Polak z Guarapuawy p. Kamiński, który zgodził się pożyć p. Radeckiemu za poręczeniem p. konsula Głuchowskiego 10.000 milreisów. Przystąpiono do pracy. Kolonizacja w pierwszych dwóch latach szła

bardzo pomyslnie: sprzedano kilkadziesiąt działek po części nawet za gotówkę, tak, że już po roku można było zwrócić p. Kamińskiemu pożyczone pieniądze. W roku 1923/24, na skutek mylnych pogłoszek, podanych przez prasę w Kurytybie o napadzie Indian i wymordowaniu kolonistów, a następnie na skutek rewolucji w Paranie, zgłaszanie się kolonistów ustało zupełnie. Fundusze się wyczerpały, i administracja kolonii mogła się tylko utrzymać dzięki drobnym zapomogom, składanym miesięcznie z własnych funduszy przez konsula i paru urzędników konsulatu. Po jakimś czasie sytuacja tak się stała rozpaczliwa, że p. konsul Głuchowski zawiadomił p. Radeckiego, iż na dalsze żadne fundusze przysyłać nie może i że dla ratowania finansowej strony przedsiębiorstwa odstępuje od swego pierwotnego założenia osiedlania wyłącznie Polaków i poleca sprzedawanie działek każdemu, kto się zgłosi, bez względu na narodowość. Tego polecenia p. Radecki nie wykonał i nadzwyczajnymi wysiłkami kryzys ostatecznie przetrzymał. Dnia 1 stycznia 1927 roku kolonizacja całej przestrzeni 6.600 akrów szczęśliwie zakończoną została. Cała przestrzeń została zasadniczo rozparcelowana pomiędzy 204 kolonistów polskich, do których przybyły następnie dalsze rodziny, dzieląc się gruntami, pierwiastkowo nabytymi, i tworząc większą liczbę osad. Osady nie są równe; wahają się od 15 hektarów Walentego Jasińskiego do 375 hektarów Juliana Bugaja. Cena, pierwiastkowo płacona, waha się od 55—105 milreisów za akier, zależnie od roku nabycia. Na 204 pierwiastkowych kolonistów tylko 14 przybyło wprost z Polski. Kolonję Amolafaca odwiedzałem dwa razy, w 1924 r. i w 1929 roku, i byłem zdumiony jej nadzwyczaj szybkim rozwojem. Przyczyniło się do tego jej dobre położenie nad wielkim traktem, łączącym Guarapuavę z Foz da Iguaçu nad rzeką Parana, stanowiącą granicę z Paragwajem i Argentyną — od kolei co prawda jeszcze dziś przeszło 200 kilometrów, ale dojazd samochodami i ogromnymi konnymi frachtami stosunkowo dobry; przyczyniło się również do tego znakomite współżycie kolonistów pomiędzy sobą, doskonałe rezultaty z gospodarki, które zawdzięczają swemu doświadczeniu i pracowitości. Wszyscy są zadowoleni, dorabiają się i już dziś myślą o nabyciu dla dzieci działek w najbliższej okolicy. Ludność kolonii wynosi około 1300 osób i szybko wzrasta — ilość licznych rodzin wielka: p. Piotr Owsiany — 18 dzieci, p. Chabowski — 14, p. Julian Bugaj — 11. Zdrowotność znakomita; w 1928 roku na 83 urodzeń było tylko 10 zgonów, choć dużo starych ludzi na kolonii. W ciągu tak krótkiego czasu koloniści potrafili własnymi środkami zbudować sobie kościoły, dotychczas, niestety, bez stałego księdza a także zbudować i uruchomić 3 szkoły, wydając na to, oprócz materiału i robocizny, przeszło 30.000 milreisów. Istnieje towarzystwo oświatowo rolni-

cze z p. Walentym Mierzwa, właścicielem 300 hektarów, jako prezesem. Istnieją półka doświadczalna, a p. Mierzwa robi ciekawe próby z hodowlą dzikich kartofli; próby z bawełną doskonale się udają, a plony pszenicy, owsa, lucerny, kukurydzy i mandjoki, osiągane przez dobrych gospodarzy z p. Adamem Wasiakiem, właścicielem 100 hektarów na czele, są wprost zdumiewające. To też cena ziemi znacznie wzrosła, i akier dziewiczego lasu na kolonii płaci się dziś od 450—500 milreisów. Takie ceny płacił ostatnio p. Julian Bugaj, powiększając swoją posiadłość. Kolonia posiada także tartak parowy, własność p. Władysława Radeckiego, a bydło i trzoda kolonistów są wcale nie byle jakie. Jednym słowem inicjatorowie i organizatorowie kolonii Amolafaca dobrze się zasłużyli sprawie osadnictwa w Paranie, i cały ogół polski winien im wdzięczność za poniesione trudy i poświęcenie.

Rezultaty, osiągnięte w Amolafaca, zdecydowały o dalszej planowej kolonizacji w Paranie — przekonały one, że wielkie oddalenie od kolei nie jest bezwzględna przeszkodą ani pod względem gospodarczym, ani pod względem kulturalnym, dowiodły one, że kierunek na zachód dla przyszłej polskiej ekspansji osadniczej w Paranie, zainicjowany przez p. konsula Głuchowskiego, jest szczęśliwie pomyślany i że po tej drodze nadal postępować należy. To też Towarzystwo kolonizacyjne w Warszawie rozpoczęło swoją akcję osadniczą w Paranie od nabycia terenów w muncypium Guarapuawskim, w bliskości traktu z Guarapuawy do Foz da Iguaçu, w odległości 15—20 kilometrów od Amolafaca i 10—16 kilometrów od miasteczka Lavanjeias. Z czasem przez nabycie terenów, leżących pośrodku, obie kolonie stanowiąc będą jedno zwarte polskie osiedle. Tereny, nabyte przez Towarzystwo kolonizacyjne, obszarem około 80.000 hektarów, z możliwością dalszego ich powiększenia, są, zdaniem miejscowych kolonistów polskich, pod względem gleby więcej warte od terenów w Amolafaca. Wogóle im dalej na zachód, tem ziemia lepsza. Nazwa przyszłego osiedla: Presidente Affonso Camargo Industrial. Cel całej akcji — osadzenie nowych rodzin rolniczych z Polski na działkach 25 — 50 hektarowych, jak również skupienie rozsianszych kolonistów polskich z trzech południowych stanów Brazylii, równoległe z tem stworzenie paru centrów miejskich — przemysłowych i handlowych. Obecnie Towarzystwo kolonizacyjne przystąpiło już do pomiarów, wyznaczenia działek, budowy dróg, baraków i składów i do wycięcia półhektarowych pól na każdej działce pod budowę domu i pierwsze zasiewy, tak, aby już we wrześniu bieżącego roku pierwsza partja osadników mogła z Polski wyruszyć.

(dokończenie na str. 178)